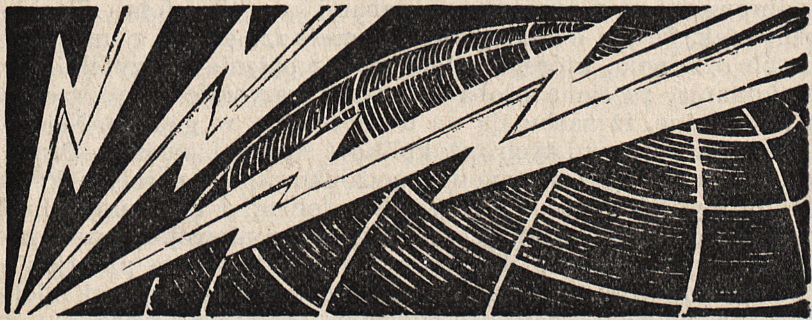
Nr. 2 „Błysków“ został skonfiskowany

Cena 10 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

BŁYSKI WOLNOMYŚLICIELSKIE



ROK 3 WARSZAWA — 1935 — 15 STYCZNIA Nr. 3

DWUTYGODNIK

Metody zatruwania

Wieś polska, usypiana od wieków kazaniami księży, powtarzających jej ciągle: „Módl się i pracuj!“, budzi się tu i owdzie ze swego tysiącletniego letargu. Budzi się i szuka nowych dróg, któremi wywalczy sobie lepszą dolę. Ale opiekunowie, ciągnący z niej zyski, czuwają i trują ją ponownie. Ta trucizna to gazety, wydawane przez kler lub jego służalców i sojuszników w dziele utrzymywania wsi w posłuszeństwie Wystarczy wziąć do ręki numer takiej gazety, aby dostać obrzydzenia spowodu poruszanych w niej rzeczy.

Ostatnia reforma szkolna, likwidująca ostatnie klasy gimnazjum po mniejszych miastach, utrudnia młodzieży wiejskiej dostęp do wiedzy. W prasie księżowskiej o tem cicho. Oszczędności na oświacie zmuszają do obniżania liczby oddziałów w szkołach wiejskich, a przez nadmierną liczbę dzieci któremi w szkole obarczony jest nauczyciel, co czyni skutki

jego pracy złudne, niewystarczające, wieś polska traci — o tem w gazetach księżych ani słówka! Potanienie produktów wiejskich jest klęską mnóstwa drobnych rolników — w gazetach kleru albo cicho, albo też ukażą się krótkie wzmianki bez wskazania przyczyn i środków naprawy.

O czem piszą gazety klerykalne?

O objęciu nowej parafji przez proboszcza, jak go witano i odprowadzano z murowanej plebanji do kościoła. To nie przypadek, że się o tem pisze, to **metoda**, stały, obmyślony sposób działania, którego celem jest wpojenie w czytelników przekonania, że sama osoba księdza i wszystkich jego rzeczy są tak ważne, iż zasługują na uwiecznienie w gazecie. Najciekawsze, iż autorami tych artykulików są sami księża. Drugą rubrykę takich gazet stanowią podziękowania parafjan księżom za wybudowanie im kościoła, plebanji i t. p. naturalnie nigdy szkoły, mleczarni, remizy straży ogniowej, słowem instytucyj pożytecznych. Przypuszczaćby należało, że parafjanie dziękują za wybudowanie kościoła, budynku, który jest miejscem zarobkowania księdza, własnym kosztem księdza, tak jak kowal buduje sobie kuźnię, sklepikarz zakłada sklep i czerpie zeń zyski. Bynajmniej, „wdzięczni“ parafjanie dziękują proboszczowi za to, że zbierał od nich składki, że kontrolował pracę murarzy i t. p. Opowiadania o takich uroczystościach jakże są ubogie w treść! Ile lokajstwa dla przybyłego biskupa, który udzielił bierzmowania i poświęcił kościół.

Pozatem w pismach tych roi się od opisu innych uroczystości, a więc pielgrzymek do miejsc świętych, odpustów i innych, jak święto Chrystusa-Robotnika, Chrystusa-Króla.

To ostatnie święto jest dniem propagandy klerykalnego działania, zwanego „Akcją Katolicką“ i ściśle z nią związane w celach i środkach Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Prowincjonalne organy klerykalne wyszczególniają na swych stronicach każdy obchód w jakiejkolwiek parafji. Z przeglądu tych notatek wynika, co już tow. Jan Olsza w „Błyskach“ zauważył, że klerowi i „Akcji Katolickiej“ brak ludzi z wykształceniem. Zaledwie tu i owdzie **w mieście** referat na akademji poświęconej uczczeniu Chrystusa Króla wygłosił człowiek świecki. Roboty tej, ze względu na zaproszonych słuchaczy, musiał się podjąć ksiądz. Co innego po wioskach; tam do spędzonych tercjarzy, bigotów i dewotek mógł przemawiać i senior bractwa. Klerowi bowiem chodzi o pozory, że „Akcja Katolicka“ to dzieło samego społeczeństwa, nie księży.

Dzień Chrystusa-Króla połączony jest z bezpłatnem rozdawnictwem takich pisemek jak „Rycerz Niepokalanej“, „Posłaniec Serca Jezusowego“. Ale kler nie byłby sobą, gdyby zapomniał o pieniądzach. Za przykładem Macierzy Szkolnej, L. O. P. P. sprzedaje się nalepki na okna z podobizną „Króla-Chrystusa“. Niepokoi nas niezmiernie, czy nalepki te były poświęcane, czy też nie? Co zrobić z nalepkami po ich zà-

brudzeniu? Czy godzi się oblicze swego boga i mistrza czynić przedmiotem kwesty? Naszem zdaniem—godzi, bo przecież księża wogóle nic innego nie robią, jak tylko żyją z Chrystusa.

Dzień Chrystusa-Króla wyraźnie stwierdza, że kler uznaje, iż dotychczasowe miejsca jego agitacji, jak konfesjonał, ambona, ołtarz, są już niewystarczające, więc za wzorem partyj politycznych, bo taką on jest w swej istocie, urządza wiece, pochody, akademje, a zapełnianie gazet opisami tych działań ma na celu stworzyć pozory, że ruch katolicki to ruch masowy, silna na wiosnę rzeka, gdy tymczasem jest to zwykłe wyjście z kościoła na ulicę. Te same osoby tu, te same tam i wszystko.

Jeśli wyłączyć z gazet klerykalnych opisy uroczystości księżych i kościelnych i przedrukowywany poradnik rolniczy lub hodowlany, to pozostanie stek kłamstw i oszczerstw.

Oszczerstwa te są miotane pod adresem bezbożników i bolszewików. Pomiędzy bezbożnikami a bolszewikami, zdaniem kleru, niema żadnej różnicy. Przeszły już czasy, kiedy wyraz bolszewik był obrazą, oznaczał coś podobnego jak podpalacz, rzezimieszek i t. p. Dzisiaj oznacza on człowieka innej kultury, innego społeczeństwa, ale przecież nie każdy bezbożnik jest bolszewikiem i dlatego księża kłamią, łącząc te wyrazy.

O co posądzają księża bezbożników i bolszewików? O chęć wyrwania z serc katolickich wiary i cnoty. Pierwsze—tak, potwierdzamy; uważamy, że wiara, podawana przez księży to największe nieszczęście polskiego ludu, ale posądzanie nas o wyrywanie cnoty jest znowuż kłamstwem, które może wysunąć się tylko z księżowskiej buzi. Jakto? Namawiamy ludzi do podpalań, kradzieży, zabójstw, gwałcenia niewiast? Popełniamy jednak „zbrodnię“, tak, przyznajemy się do niej, a mianowicie: uczymy ludzi samodzielnie myśleć, a gdy wszystkich w Polsce tej sztuki nauczymy, to po księżach śladu i wspomnień nie będzie. Tak, to będzie nasza „zbrodnia“, zdaniem kleru, a zdaniem ludzi uczciwych: nasza największa zasługa wobec Polski i ludzkości.

Najbardziej przykremi dla kleru momentami są rocznice odzyskania niepodległości, zwycięstwa w 1920 r. To drugie okupuje kler jedynem na kilkanaście tysięcy czarnych sutann nazwiskiem ks. Skorupki. Trudniejszą sprawą przedstawia pamiątka odzyskania niepodległości. Co tutaj wogóle kler ma do powiedzenia? Biskupa Bandurskiego, którego ignorowali? W żadnej księżej gazecie o tem nazwisku nie wspomną, a innego nie mają. Czy mają wspominać o odezwie arcybiskupa Likowskiego, aby wielkopolanie, ślązacy i pomorzanie dochowali wierność Wilhelmowi II? Czy redaktorzy pism klerykalnych przypomną o nabożeństwach odprawianych przez arcybiskupa Kakowskiego na intencję zwycięstwa oręża rosyjskiego i wysyłaniu depesz hołdowniczych do cara? Czy może mają odświeżyć pamięć paszkwili, rzucanych przez bi-

skupa Łosińskiego w Kielcach na wojsko polskie w 1914 r. i przez cały czas wojny światowej?

A jednak od czego jest kłamstwo? Od czego zmiana frontu? Ci sami ludzie, którzy pod niebiosy wychwalają jakikolwiek czyn bylejakiego księdza, że tam gdzieś ochrzcił konającego murzyna, że gdzieś się obronił przed bandytami, nie mówiąc już o Skorupce, Kordeckim, tutaj przy omawianiu walk o odzyskanie niepodległości nazwisk unikają ze zrozumiałych powodów. „Wszyscyśmy dążyli do Polski niepodległej! Wszyscyśmy o nią walczyli! Nie chwalmy się zasługami! Bądźmy skromni i dziękujmy opatrzności za łaskę niepodległości“ piszą księża w swoich gazetach. Jakto? Biskupi dążyli do niepodległej Polski? Kiedy, który? Któż to przeciwstawiał się w nazwaniu ulicy hr. Berga w Warszawie ulicą Traugutta, kto nawet kościółka na Woli nie chciał rewindykować (odebrać), bo się bał powrotu moskali? Kto w dniu 15 sierpnia 1915 r. starał się po sumie przekrzyczeć jakąś pieśnią kościelną hymn narodowy Polski? Nie kler?

Jakże Wam trudno od piernatów, materaców, gospodyń, tłustych półgęsków, nalewek, konfitur, preferansa, życia smoków, zadowolonych ze siebie próżniaków, wznieść się do wyższego poziomu poświęcenia i ofiar! Któż miał Was do tego zachęcić? Czy papież? To zapytajcie się swego przyjaciela, Romana Dmowskiego, który publicznie oświadczył, iż gdy wspomniał o niepodległej Polsce, to w Watykanie w twarz mu się roześmiano, a wskazano na Austrję, jako Polski orędowniczkę? Czy mianowany przez rząd rosyjski arcybiskup Kakowski? Przecież program niepodległej Polski wystawiła w czasach przedwojennych klasa robotnicza, drobna część uświadomionych chłopów i postępowej inteligencji, a nie obszarnicy i bogaci fabrykanci. Kto wyklinał „Zaranie“? Kto bojowników niepodległości, straceńców—socjalistów i dawniej i teraz do zbrodniarzy przyrównywa? Czy to nie wy, księża?

I z jakiem to miedzianem czołem można pisać, że „wszyscy“, to znaczy i księża z „niejednym“ na czele dążyli do niepodległości! Jak można tak kłamać i nie wstydzić się!

A jednocześnie prawić morały i rzucać wyrazy potępienia na bezbożników, z których większość cierpiała za Polskę w więzieniach i walczyła w legjonach?

Słowem: kłamstwo do kłamstwa dodawać w tekście, a na pierwszej stronicy umieszczać wyrazy: „Niech będzie pochwalony!“ Czy jedno drugiemu nie zaprzecza?

To też autorzy czują, że wypisywanie takich kłamstw jest bardzo niebezpieczne i starają się przywrócić w posłusznych sobie gromadach wychodzące z mody przyzwyczajenia: różańce, modlitwy; uzasadniają, że przystępowanie do spowiedzi nie jest wstydem (a więc kler nie jest pewien swych najwierniejszych), aby tylko lud wiejski nie myślał, aby się modlił, miał dużo dzieci (chrzty, śluby, pogrzeby) i pra-

cował, a prosił boga, dając księdzu pieniądze „za dusze w czyśćcu“, o deszcz, o pogodę, stawiał kościoły i dziękował księżom za to, że chłopi sami sobie kościoły stawiają. A raczej nie sobie, tylko księżom papieskim, bo co katolickie, to papieskie.

Pasorzyty!

W. Kotwica

„Więźniowie — więzienia — kary“

Dlaczego na świecie są przestępcy? Uczeni prawnicy, badacze, uważają, że jeśli człowiek nie może przystosować się do ogółu, wśród którego żyje, gdy łamie przepisy tego ogółu, to albo taki człowiek jest w pewnym choć stopniu chory umysłowo, albo winien jest temu ustrój danego społeczeństwa, albo też jedno i drugie razem. Człowiek kradnie, bo jest leniwy, niechce mu się pracować, lenistwo to jednak jest już objawem pewnej może niewielkiej, ale jednak choroby umysłowej, a jak to stwierdzają najnowsze badania, nietylko choroby umysłowej; kradnie człowiek jeszcze i dlatego, że nie może zarobić na swe potrzeby spowodu wciąż srożącego się większego lub mniejszego bezrobocia, a więc z winy ustroju społeczeństwa, które jest tak źle zorganizowane, że nie może mu dać pracy. Najczęściej złodziej nie może znaleźć pracy i jest niezupełnie pod względem zdrowotnym normalny, w wyniku tego leniwy, skłonny lub zniewolony do zdobywania środków utrzymania w sposób niewymagający stałych, długotrwałych i jednostajnych wysiłków.

Kiedyś, gdy ludzie nie wiedzieli jeszcze i nie zastanawiali się nad tem, dlaczego człowiek staje się przestępcą — kara była tylko aktem zemsty ze strony pokrzywdzonego przez przestępcę. Była to opłata: oko za oko, ząb za ząb. Mścił się pobity, obrażony, mściła się jego rodzina, rodzina zabitego. Pobity, obrażony, rodzina zabitego mogli sprawcy pobicia, obrazy, zabójstwa przebaczyć. Później, gdy społeczeństwo na przestrzeni dziejów stanęło już na nieco wyższym poziomie — odpłatę wymierzał pokrzywdzonemu nie on sam sobie, a społeczeństwo, władze tego społeczeństwa, państwa: król, kościół, gdy posiadał władzę świecką, w zastępstwie króla jego urzędnicy albo jego sądy.

Więzienia nie isniały zawsze, kiedyś nie było ich wcale. Kara polegała na biciu lub w inny sposób męczeniu sprawcy przestępstwa, albo na zadaniu mu śmierci. Znacznie później dopiero przyszła kara grzywny i pozbawienia wolności.

Kara, jako odpłata, odwet, zemsta była wytłumaczona tylko chęcią upokorzenia przeciwnika dla własnej satysfakcji pokrzywdzonego. Często połączona była z odszkodowaniem spowodowanej przez przestępcę straty.

Później karę zaczęto wymierzać, jako przestrogę dla innych, jako odstraszenie. Tortury stosowano na placach publicznych, w obecności przypatrujących się tłumów. Karę śmierci wykonywano na rynkach, ściętą głowę wystawiano na pewien czas na widok powszechny. Uwięzionych trzymano w klatkach obok ratusza. A i dziś jeszcze często władze podają do wiadomości fakt powieszenia zbrodniarza, zapomocą afiszów na murach domów. Wydawało się, iż ludzie wyrzekną się przestępstw w obawie przed surową karą.

Wymierzano, wymierza się jeszcze karę i w tym celu, aby ogół obywateli ochronić przed człowiekiem, który dla obywateli tych jest niebezpieczny. Pozbawia się go wolności na długie lata. Wysyła się na wygnanie, na Syberję, na oddalone bezludne wyspy. Aby raz na zawsze społeczeństwo oswobodzić od niebezpiecznego zbrodniarza — pozbawia go się życia.

Wszystkie te sposoby karania nie odpowiadają wynikom współczesnych badań naukowych.

Odwet, odpłata, zemsta jest tylko objawem zwierzęcym, a nawet podobno i zwierzęta go nie stosują. Zabijają człowieka lub inne zwierzę, jako pokarm lub ze strachu, w obronie własnej.

Odstraszenie przez surowe kary daje wynik wprost odwrotny. Człowiek powoli przyzwyczaja się do surowych kar i kary te przestają go straszyć. To nie tortury w średniowieczu ale wzrost kultury spowodowały, że teraz na drogach publicznych niema zbójców. Łamanie kości kołem, obcinanie rąk, uszu, wyrywanie języka, przypiekanie ciała gorącym żelazem, wyłupianie oczu, zabijanie głodem w lochach, pożeranie przez zwierzęta, palenie żywcem na stosie wywoływały tylko stwardnienie serc i sumień ludzkich. Torturom na placach i arenach cyrków przypatrywały się z uśmiechem na ustach młode panieneczki. Mordy chrześcijan na arenach Rzymu, walki byków w Hiszpanji nikogo nie wzruszały i nie wzruszają, rodziły one tylko i rodzą nieczułość na ból i cierpienie. Tortury te i mordy były wszak najwyszukańszem widowiskiem dla uszczęśliwionych ich widokiem rozentuzjazmowanych tłumów.

Odłączenie przestępcy od społeczeństwa też nie prowadzi do celu. Na miejscu uwięzionych, wysłanych, wygnanych lub straconych zjawiają się inni tak samo niebezpieczni. Czyż komuś wydaje się, że odłączając od społeczeństwa w Polsce, naprzykład, sto tysięcy przestępców, już raz na zawsze kraj nasz uwolni się od nich? Z głębi bytu społecznego przyjdą inni. Zrodzi ich samo społeczeństwo, zjawią się jako ludzie o chorobliwie osłabionej woli albo wprost jako jednostki chore. Zrodzi ich bezrobocie i warunki społeczne życia tego społeczeństwa.

Nowoczesna więc kryminologja t. j. nauka o przestępstwie stoi na zupełnie innem stanowisku, a mianowicie, że przestępcę należy leczyć. Wedle nowoczesnych poglądów niema winy i niema kary. Już nawet i nowy polski kodeks karny z 1932 r. nie mówi, że ktoś jest winien popełnienia jakiegoś przestępstwa, ale tylko dopuścił się czynu zagrożonego karą. Wszakże nie można mówić wogóle o pojęciu winy, jako o stałem naukowem pojęciu. Co dziś nie wolno, to może być dozwolone jutro; był czas, gdy handel zagranicznemi pieniędzmi był niedozwolony, dziś jest on zupełnie swobodny; karana była lichwa żywnościowa, dziś nie jest karana. „Przestępstwa“ powstają i znikają zależnie od potrzeb społeczeństwa i rządzących. Co niewolno u nas, to jest zasługą za miedzą. Przynależność do partji komunistycznej, bluźnierstwo — w Polsce są karane; w Sowietach honorowane. Niema winy, jest tylko czyn w danem miejscu i czasie zagrożony karą. Kodeks zaś karny Rosji sowieckiej nie używa już więcej słowa „kara“ a tylko zwrot „środki obrony społecznej“ z wyraźnem zaznaczeniem, że nie mogą one być odpłatą i karą, oraz nie mają na celu spowodowania w stosunku do skazanego cierpień i dolegliwości fizycznych, ani pozbawienia go ludzkiej godności. Środkami obrony społecznej w Rosji sowieckiej są oprócz środków sądowo-poprawęzych, środki medyczne i medyczno-pedagogiczno-wychowawcze.

Ideałem walki z przestępczością byłyby właściwie tylko środki medyczne i medyczno-pedagogiczne: leczenie i wychowanie ludzi bądź zdradzających skłonności do gwałcenia przepisów kodeksu karnego, bądź takich, którzy już „przestępstwo“ popełnili, jednem słowem — poprawianie tych ludzi.

Niestety ideał ten nie został jeszcze wprowadzony w życie nigdzie. Idziemy zwolna ku niemu. Ale narazie jeszcze na całym świecie a i w Polsce „kara“ zawiera w sobie razem w mniejszym lub w większym stopniu i odpłatę, a więc jest surowsza przy większej krzywdzie wyrządzonej przez sprawcę, i zastraszenie innych i odłączenie przestępcy od społeczeństwa. Ponadto posiada jednak też i u nas, wprawdzie w bardzo słabym stopniu, charakter poprawczy, to znaczy środki zmierzające do poprawienia samego sprawcy.

Józef Litauer
adwokat

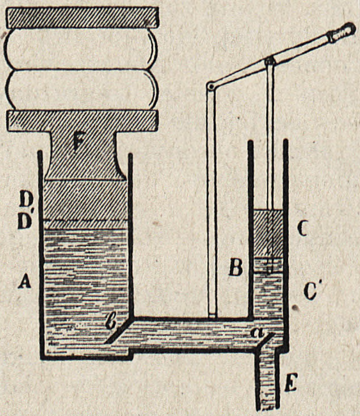
Występujcie z kościoła
i gmin wyznaniowych!

KALENDARZ WOLNEGO MYŚLICIELA
znajduje się w druku i zostanie wysłany zamawiającym natychmiast po. jego ukazaniu się.

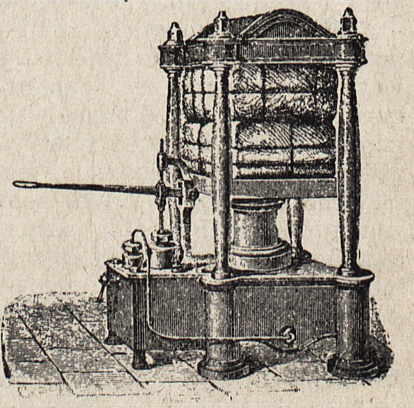
Krótki zarys fizyki

10. Prasa hydrauliczna

Prawo Pascala, o którem mówiliśmy w poprzedniej pogadance, znalazło praktyczne zastosowanie w tak zwanej prasie hydraulicznej, zbudowanej w roku 1799 przez angielskiego inżyniera Józefa Bramah'a. Maszyna ta ma na celu wywierania wielkich nacisków, np. do miażdżenia ciał, do prasowania i t. p.



Ryc. 11



Ryc. 12

Prasa hydrauliczna (ryc. 11 i 12) składa się z dwuch cylindrów A i B, połączonych ze sobą, przyczem cylinder B jest znacznie mniejszy od cylindra A. Cylindry A i B zamknięte są tłokami. Mniejszy cylinder B połączony jest ze zbiornikiem cieczy (np. wody) za pomocą rury E. Oba cylindry zaopatrzone są zastawkami **a** i **b**. Zastawka **a** otwierać się może tylko ku górze, natomiast zastawka **b** tylko nalewo.

Wyobraźmy sobie, że oba tłoki znajdują się w najniższem swojem położeniu, zastawki zamykają odpowiednie otwory. Zapomocą rękojeści podnosimy tłok B do góry; wówczaspod tłokiem tworzy się rozrzedzenie (patrz ryc. 6 Bł. Nr. 4/1934); woda ze zbiornika, pod wpływem ciśnienia atmosferycznego wchodzi do małego cylindra i zapełnia go całkowicie. Opuszczamy tłok małego cylindra na dół, wywierając nań zapomocą rękojeści pewien nacisk; wówczas nacisk ten rozejdzie się na wszystkie strony, zamknie więc zastawkę **a**, a otworzy zastawkę **b**. Ponieważ woda jest nieściśliwa, pod wpływem zewnętrznego nacisku przejdzie do cylindra B i podniesie tłok D. Teraz tłok B znajduje się znowu najniżej, podnosimy go znowu zapomocą rękojeści do góry, pod tłokiem tworzy się rozrzedzenie, woda z dużego cylindra chciałaby przejść do małego cylindra, ale

zamknie zastawkę **b**, tak że woda ze zbiornika znowu pod wpływem ciśnienia atmosferycznego wejdzie do małego cylindra. Gdy tłok małego cylindra będzie się znajdował w najwyższem swem położeniu, wywrzemy nacisk wdół, zastawka **a** zamknie się, natomiast **b** się otworzy; woda z małego cylindra wejdzie do dużego cylindra, podnosząc tłok dużego cylindra i naciskając ciało, które znajdzie się na płycie F.

Przy okazji należy wyjaśnić, kiedy człowiek stosuje maszynę i co się wygrywa stosując maszynę.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że przez zastosowanie maszyny wygrywamy na pracy, ale takie ujęcie jest mylne; w innych pogadankach wyjaśnimy, że przez zastosowanie maszyny nie wygrywamy nic na pracy.

W takim razie w jakim celu stosować maszynę?

Przez zastosowanie maszyny wygrywamy na sile, albo na czasie. Stosując maszynę, można małą siłą (rąk ludzkich) pokonać tak wielkie opory (przezwyciężyć tak wielkie przeszkody) jakie w normalnych warunkach byłyby nie do pomyślenia. Konkretnym przykładem wygrywanią na sile, są dźwigi ustawione w naszym porcie w Gdyni. Dźwigi te podnoszą wagony naładowane węglem i przeładowują go na okręty.

Zatem jeżeli człowiekowi chodzi o wygrywanie na sile, stosuje maszynę.

Drugi wypadek, stosowania maszyny zachodzi wtedy, gdy człowiek chce wygrać na czasie.

Naprzykład: samochody, koleje, samoloty mają na celu wygranie na czasie.

A więc przy zastosowaniu maszyny należy mieć na względzie stosunek siły przyłożonej do maszyny tak zwanej **siły czynnej** do **oporu pożytecznego**, t. j. do tej siły, którą należy pokonać.

Pragnę to, co wyżej powiedziałem, pbprzeć przykładem liczbowym. Załóżmy, że do rękojeści prasy hydraulicznej, przyłożyliśmy siłę czynną, równą 20 kg, a pokonaliśmy opór miażdżonego ciała równy 2000 kg, to stosunek siły czynnej do oporu pożytecznego wynosi $\frac{20}{2000} = \frac{1}{100}$.

Mówimy wówczas, że **przekładnia** takiej maszyny równa się $^1/_{100}$. Napisać możemy to w sposób następujący:

$$\frac{\text{siła czynna}}{\text{opór pożyteczny}} = \text{przekładnia maszyny}$$

Im siła czynna jest mniejsza, a opór pożyteczny jest większy, tem maszyna jest lepsza, albo inaczej: im przekładnia maszyny jest mniejsza tem maszyna jest lepsza.

Postarajmy się teraz zastosować to, co powiedziałem, do prasy hydraulicznej.

Załóżmy, że powierzchnia małego tłoka wynosi 3 cm^2, a powierzchnia dużego tłoka 300 cm^2.

Załóżmy, że zapomocą rękojeści wywarliśmy nacisk równy 20 kg, to parcie, jakie wywrze duży tłok na ciało miażdżone wyniesie 2000 kg. Bowiem na mocy prawa Pascala nacisk jest wprost proporcjonalny do powierzchni. Stosunek powierzchni małego tłoka do powierzchni dużego tłoka jest $3 : 300 = 1 : 100$, a więc opór pożyteczny winien być 100 razy większy niż siła czynna. Jeżeli więc siła czynna wynosi 20 kg, to opór pożyteczny, jako sto razy większy, wyniesie $20 \times 100 = 2000$ kg.

Rycina 12 przedstawia prasę hydrauliczną całkowicie zmontowaną.

Prasy hydraulicznej używamy do prasowania siana, masy papierowej, do wytłaczania deseni na skórze i drzewie, do zginania płyt pancernych i w wielu innych wypadkach pokonania bardzo dużych oporów.

Po wykonaniu wyznaczonej pracy zapomocą prasy hydraulicznej wypuszczamy ciecz z większego cylindra przez otworzenie odpowiedniego kranu (zaworu).

B. Różański

Czy „duchy“ się ukazują?

(Odpowiedź M. C. w Zawadach Kościelnych)

Pytacie, czy to prawda, że niektórym ludziom ukazują się duchy osób zmarłych?

— Nie, to nieprawda. Takiego wypadku nauka nie zna. „Duchów“ niezależnych od ciała niema, więc nie mogą się one ukazywać po śmierci, wtedy, gdy ciało zostało zakopane w ziemi lub spalone w spopielarni zwłok (w krematorjum). „Ukazać“ może się tylko człowiek żywy. Ten, kto mówi, że widział ducha osoby zmarłej, albo poprostu zmyśla, albo w najlepszym razie wziął wytwór własnej wyobraźni za rzeczywistość. „Duchy“, zjawiające się na seansach spirytystycznych, nie są „duchami“ osób zmarłych, lecz materjalizacją, a więc pewnego rodzaju ucieleśnieniem, stanów świadomych a jeszcze częściej podświadomych uczestników seansu. Może to być również wypadek zbiorowej autosugestji, czyli zbiorowego wmówienia w siebie, że się coś „widzi“. Znaną jest rzeczą, że człowiek zmęczony, osłabiony np. chorobą, gorączką, lub niewyspany skłonny jest do miewania i nawet miewa różne przywidzenia (halucynacje) wzrokowe, słuchowe... Najbardziej skłonni są do utrzymywania, że duchy lub dusze się ukazują, ludzie przesądni, ciemni, nierozumiejący wielu zjawisk, zachodzących w naturze. Wierzą oni również we wszelkiego rodzaju „cudy“. Ludzie, dopatrujący się we wszystkiem obecności duchów, nazywają się w nauce animistami, „duchowcami“ (od łac. anima

= duch, dusza). Animistami są prawie wszystkie znane nam ludy pierwotne, stojące na bardzo niskim poziomie rozwoju umysłowego. Takich animistów jest i w naszej Polsce dobre parę miljonów, przynajmniej tylu, ilu mamy analfabetów, t. j. ludzi nieumiejących ani czytać ani pisać. A mamy ich zgórą 6 miljonów. Znamy jednak wielu animistów nawet z uniwersyteckiem wykształceniem. Zwłaszcza wśród niewiast. Ale znamy również i pomocnice domowe, które animistkami być przestały i wystąpiły z kościoła. Bo stopniem rozwoju i postępu umysłowego nie jest suma zdobytej w szkole wiedzy, lecz zdolność i umiejętność wyciągnięcia z niej pewnego sensu ogólnego, pewnego poglądu na świat, zwanego pospolicie filozofją lub mądrością. Te animistki z uniwersyteckiem wykształceniem nie były zdolne, czy też nie umiały wyciągnąć ze swoich studjów należytych wniosków ogólnych i pozostały dzikuskami na całe życie: nauka spłynęła po nich, jak woda po szkle, a te proste niekształcone niewiasty od kuchni i balji nawet z posiadanego małego zasobu doświadczenia życiowego zdołały wyciągnąć właściwy sens i wznieść się drogą samodzielnego myślenia na wyżyny pewnej filozofji i z filozofji tej uczynić obowiązujące prawo dla swego postępowania.

Wiara w istnienie duchów i w możliwość ukazywania się ich ludziom należy do najgrubszych przesądów. Przesądy te podtrzymuje przedewszystkiem kler. Nie mówi on wprawdzie, że duchy się ukazują, ale też i nie zaprzecza, gdy coś podobnego usłyszy, bo to jest woda na jego młyn, bo to podtrzymuje wiarę w istnienie świata i życia pozagrobowego. Podsyca on tę wiarę różnemi bajdami, zawartemi czy to w żywotach świętych, czy w specjalnych wydawnictwach jak np. „Cuda boże w duszach czyśćcowych“ w 2-ch tomach i daje im swoją aprobatę, czyli przyzwolenie. Wszystko to jest obliczone na przerażenie ciemnego wierzącego czytelnika, aby się wszystkiego bał, a zwłaszcza świata t. zw. niewidzialnego, nadprzyrodzonego, którego niema. Bo bez wiary w świat pozagrobowy i nadprzyrodzony, kler straciłby wszelką rację swego bytu, jako pośrednik pomiędy tym a „tamtym“ (nieistniejącym) światem. Bo z chwilą, gdyby wierni przekonali się, że świat nadprzyrodzony jest wymysłem, tak jak jest tym wymysłem: bóg, trójca, grzech, piekło, czyściec, objawienie i td., upadłby sam przez się. Z chwilą zaś, gdy świat nadprzyrodzony upadnie w gruzy, upaść musi również i kler, który o tym świecie bredzi od wieków, jak ów przysłowiowy Piekarski na mękach, mając jak dotąd zawsze dość naiwnych słuchaczy, którzy mu wierzą na kapłańskie słowo. Wtedy nikt już żadnemu z księży nie uwierzy, że posiada władzę nadprzyrodzoną rozgrzeszania, błogosławienia, czy zamieniania opłatka w ciało ludzkie. Gdy prawda ta przeniknie do świadomości szerokiego ogółu wiernych, a przeniknąć wkońcu musi, nikt nie będzie już płacił księdzu ani za chrzest, ani za ślub, ani za pogrzeb, ani nie zakupi żadnej mszy czy wotywy

nie zaniesie mu masła, ani jaj, nie da nawet kolendowego snopka. Dlatego kler tak broni swoich bredni o świecie nadprzyrodzonym, bo to mu daje byt i władzę polityczną nad wierzącymi. A murem fortecznym tej bredni, to ciemnota, przesądy i łatwowierność chłopa i robotnika, a głównie chłopki i robotnicy.

Dlatego każdy, kto nie pochwala jawnego uświęconego oszustwa, uprawianego przez kler pod płaszczykiem religji, powinien wypowiedzieć klerowi i jego fortecy — czyli przesądom bezwzględną walkę i między innemi uwolnić ludzi z przesądu animizmu i z wiary w ukazywanie się duchów po śmierci.

Red.

Pius XI jako podróżny

(Fotografja z pism codziennych)



Tak się ubiera papież, gdy siada do samochodu. A Chrystus miał chodzić boso i sypiać pod gołem niebem, gdy jego rzekomy pełnomocnik ma kilka wspaniałych pałacy, liczących razem kilkanaście tysięcy pokoi. Nadto każdy biskup czy pleban ma również pałac albo plebanję.

— A skąd na to wszystko biorą pieniądze?

— Od „wiernych", którzy ich słuchają i utrzymują.

Jak przestałem wierzyć?

Jestem synem rolnika. Mam obecnie lat 27. Wychowanie otrzymałem b. religijne. Po skończeniu szkoły powszechnej wstąpiłem do gimnazjum, prowadzonego przez księży. W szkole byłem lubiany przez profesorów i wychowawców. Z namowy rodziców i z własnych pobudek postanowiłem zostać księ-

dzem. Po ukończeniu gimnazjum — wstąpiłem do seminarjum duchownego. Jako kleryk byłem gorliwym uczniem i prowadziłem się nienagannie. Odmawiałem wszystkie modlitwy i odbywałem wszystkie praktyki religijne, wymagane od seminarzystów

Pod wpływem rozczytywania się w żywotach świętych, marzyłem o zostaniu świętym. Przystępowałem do komunji codziennie, umartwiałem się i pościłem. Początkowo modliłem się z książki do nabożeństwa i brewjarza. Później nasi przełożeni nie kazali nam się modlić z książek — lecz odbywać t. zw. ćwiczenia duchowe, polegające na rozpamiętywaniu nauki Jezusa i żywotów świętych, miłości i nieskończonej dobroci boga. Przykładałem się do tego z całym zapałem, odchodząc chwilami od zmysłów, do tego stopnia, że niekiedy nie wiedziałem, o czem mówili profesorowie na wykładach. Niepokoiła mnie w dokuczliwy sposób myśl, czy moje postępowanie i moja gorliwość podobają się bogu, czy postępuję właściwie, czy jestem na dobrej drodze. Pytałem się w moich modlitwach boga, czy jest ze mnie zadowolony i prosiłem, aby dał mi to poznać w jakiś sposób, gdyż, jako wszechwiedzący musi wiedzieć, jak się tem gryzę, niepokoję i męczę. Ale znaku żadnego nie było. Byłem bliski rozpaczy. Zwróciłem się więc do mego spowiednika o radę. Polecił mi przystąpić do komunji i modlić się gorąco do boga o natchnienie i wskazanie choćby we śnie właściwej drogi mego życia. Zastosowałem się do tego, a moje gorące, błagalne modły zraszałem łzami. Ani na jawie, ani we śnie nic od boga nie otrzymałem. Modlitwy były bez odpowiedzi i bez żadnego skutku. Początkowo sądziłem, że bóg obraził się na moje zuchwalstwo i nie nakłonił ucha do moich próśb. Widocznie nie jestem godzien łaski najwyższego. Bolało mnie to niezmiernie. Cierpiałem moralnie w sposób niedający się opisać.

Od tego czasu moja gorliwość zaczęła się stawać coraz bardziej jakaś mechaniczna, przyszła na mnie jakaś otępiałość, w modły i praktyki nie wkładałem serca, modliłem się już raczej z nałogu, z nawyku, dla formy i pozoru. Czułem się bezsilny i zrezygnowany. Więc bóg, ten dobry bóg — jest tak niedostępny — tak jako ojciec nieczuły — że mi nie raczy okazać nawet tyle współczucia, co ojciec ziemski? Czyżby niebo było puste? Czyżbym podobny był do owego dziada, co to gadał do obrazu, a obraz doń ani razu?... Wątpliwości—jako naturalna reakcja na poprzednią moją przesadę w wierze — zapełniły moje myśli, które teraz zaczęły pracować coraz szybciej i coraz bezwzględniej podkopywać się pod niewzruszone — jak mi się zdawało — fundamenty mojej wiary. Przypominałem sobie wszystkie zasłyszane dawniej zastrzeżenia co do wiary w boga, wszystkie złośliwe pytania, zadawane przez kolegów gimnazjalnych katechecie na lekcjach dogmatyki, — które mnie dawniej gorszyły i oburzały. Teraz nie widziałem w nich nic karygodnego lub złośliwego, lecz przeciwnie, wy-

dały mi się czemś naturalnem i rozsądnem. Miałem teraz do siebie żal, iż mogłem być tak naiwny, że się oburzałem na kolegów wątpiących, którzy patrzyli wówczas na mnie z pewną, całkiem uzasadnioną wyższością, jak na głuptasa, który wierzy, jak na człowieka pomylonego.

Wyjeżdżając z seminarjum na wakacje, zabrałem z sobą wszystkie rzeczy, gdyż czułem, że już tu więcej nie wrócę. I nie wróciłem. Bolała nad tem zwłaszcza matka, robiła co mogła, modliła się za moje nawrócenie, za ducha powołania. Ale bezskuteczność jej modlitw jeszcze więcej upewniała mnie w tem, że niebo jest puste, że jeżeli bóg jest — to rzecz musi się z nim mieć całkiem inaczej, niż to głosi teologja. Nie odrzucałem jeszcze wiary w boga, ale odrzuciłem całkowicie dogmaty kościoła. Hierarchja kościelna wydała mi się tem, czem w istocie swojej jest: bandą oszustów i ogłupiaczy, która gotowa jest swemi doktrynami (naukami) doprowadzić do obłędu ludzi, chcących je wykonywać w 100% tak, jak ja je wykonywałem. Przez chwilę myślałem przejść na protestantyzm, ale ich kurczowe trzymanie się biblji, jako objawionego słowa bożego, które przestało już być dla mnie objawionem słowem bożem — już mi nie odpowiadało. Pojęcie boga jeszcze tkwiło w moim mózgu. Ale było to już tylko pojęcie. Z teisty czyli z wierzącego w boga, jako w osobę, stałem się deistą[1]). Mój pogląd na świat z teologicznego stał się filozoficznym.

Udawszy się po wakacjach na dalsze studja świeckie, zainteresowałem się ruchem wolnomyślicielskim. Zacząłem czytać „Wolnomyśliciela Polskiego“, „Wiadomości Literackie“, przeczytałem Mangasariana „Nowy Katechizm“, Plöhna „Katechizm wolnomyślicielski“, B. Dyboskiego „O światopoglądach starożytnych i naukowym“, Dr. Świeżawskiego „Bóg—rozsądek“, Reinacha „Orfeusz“, T. Grudy „Od królestwa bożego do monarchji uniwersalnej“, Młota „Worek judaszów“, Hulki Laskowskiego „Matki boże — królowe niebios“, Radlińskiego „Dzieje jednego boga“, „Dzieje jednego z synów bożych“, „Jezus, Paweł i Spinoza“, Hoensbrocha „Papiestwo“, dwie piękne powieści Belmonta: „Messalina“ i „Złotowłosa czarownica z Glarus“, Wellsa „Historję świata“, W. Mierzyńskiego „Jak człowiek stworzył boga“, France'a „Thais“, „Bunt aniołów“, „Gospoda pod królową gęsią nóżką“, „Wyspa pingwinów“, książki Russela, Boya-Żeleńskiego (zwłaszcza „Nasi okupanci“ „Dziewice konsystorskie“ i „Piekło kobiet“) i wiele innych. Przeczytałem ostatnio z prawdziwą rozkoszą książkę Dr. W. Spasowskiego „O wychowaniu człowieka“.

I dziś jestem ateistą i antyklerykałem. Nikt mnie do tego nie namawiał. Doszedłem do tego pracą własnej myśli. Szukałem boga całem sercem — i nie znalazłem, bo go nie-

---

[1]) Dla deistów bóg jest tylko pojęciem sił natury, ale już nie stwórcą świata. Red.

ma, bo jest wymysłem. Do tego samego przekonania doszedłby każdy, gdyby kler nie ogłupiał ciemnych mas, począwszy od szkoły, gdyby tym masom nie narzucał wiary w boga w własnym kastowym interesie i gdyby nauczyciele mogli wyraźnie mówić uczniom w szkole, jakie należy wyciągać wnioski z nauki o przyrodzie i jak się nauka zapatruje na boga. Gdyby państwu zależało na umysłowem i kulturalnem podniesieniu mas — wyrzuciłoby naukę religji ze szkoły, zeświecczyłoby ustawodawstwo rodzinne, zamknęłoby wszystkie szkoły, utrzymywane przez księży i zakonnice, gdzie się wychowuje dewotów, a zwłaszcza dewotki, poleciłoby uświadamiać dzieci od szkoły powszechnej, co to jest kler, co to jest kościół i co to są jego dogmaty, a po 50 latach takiego kierunku nauczania nie byłyby do pomyślenia ani pielgrzymki odpustowe, ani koronacje cudownych obrazów, ani kongresy eucharystyczne. Szkoła miałaby wówczas charakter antyreligijny — ale innego charakteru mieć ona nie może, jeśli ma być mowa o kulturalnem podniesieniu mas.

Dając młodzieży wychowanie wyznaniowe, państwo wywołuje w umysłach dzieci szkodliwy zamęt, który czyni z nich kulturalne dziwolągi: ni to pies, ni wydra. Wychodzi z tego coś połowicznego: ani naukowiec, ani teolog. A przecież wychowawcy są od tego, aby swoim uczniom mówili, co według nauki jest prawdą i dawali im na resztę życia zdrowe, rozsądne nastawienia orjentacyjne. Dziś uczeń, kończący czy to szkołę powszechną, czy średnią — jest zdezorjentowany. Sam nie wie, czego się trzymać. Jest wiecznie na rozdrożu. A rzadkie to wypadki znajdowania na własną rękę wyraźnej i zdecydowanej linji w życiu.

Państwo, jeżeli chce zasłużyć sobie na szacunek uświadomionych obywateli — winno jak najprędzej skończyć z tą demoralizującą i niemoralną zasadą: dać uczniom trochę wiary i trochę nauki dopasowanej do wiary, a później niech sam wybiera, gdy przyjdzie do rozumu. Tak kwestji stawiać nie można. Żaden uczciwy i rozsądny ojciec, zdający sobie doskonale sprawę z odpowiedzialności społecznej i moralnej za kierunek wychowawczy dany swemu dziecku — nie będzie czynił z niego świadomie dewota, jeżeli jest wolnym myślicielem, znającym doniosłość nauki w życiu.

Takim wychowawcą-ojcem na wielką skalę jest właśnie państwo. A o ile wiem, ostatni ministrowie oświaty w Polsce nie są dewotami. A jednak narzucają dzieciom programy sprzed wieków. Dziś trzeba raczej tak tę kwestję postawić: dać dziecku wykształcenie zdecydowanie naukowe czyli antyreligijne — a gdy dziecko dojdzie do rozumu i będzie chciało wierzyć — niech sobie wierzy. Tę wiarę można wtedy uszanować w myśl art. 111 konstytucji, gdyż będą to przekonania **świadome**. Dziś wiara i tak zw. religijność mas, nie jest rzeczą świadomego wyboru, lecz narzuconym zgóry nałogiem, przyjętym przez niego bezkrytycznie. A to jest nieuczciwe.

Mówię to, bo sam doświadczyłem na własnej skórze, do czego prowadzi obecny system nauczania w naszych szkołach: p. bogu świeczkę i djabłu (nauce) — ogarek.

Miałem sam być księdzem, sam miałem ogłupiać innych i pomstować razem z kastą kapłańską na „klęskę spółczesnego laicyzmu“: na „żydów“, „bolszewików“ i „masonów“. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stało się inaczej — z czego jestem niewymownie rad. Bo oto mogę pracować uczciwie na kawałek chleba i nie tuczyć się kosztem nędzy, upośledzenia umysłowego i moralnego moich bliźnich, jakby to miało niewątpliwie miejsce, gdybym był w porę nie zawrócił z tej nieuczciwej drogi i nie stał się człowiekiem wolnym i obywatelem kraju, lecz jednym z papieskich mameluków, broniących jego interesów, a nie interesów Polski, i napiętnowanych na znak tego odpolszczenia niewolniczem kółkiem na ciemieniu.

Wolnej Myśli, cześć! *Tadeusz Faliński*

„C U D“

Prasa doniosła, że 67-letni Piotr Milewicz, mieszkaniec Marjaniszek, gminy olszakowskiej, sparaliżowany od lat 30-u, odzyskał nagle władzę w nogach na widok zakradających się do jego mieszkania bandytów. Oto ujrzawszy ich, podszedł do łóżka, chwycił wiszącą nad niem strzelbę i strzelił do bandytów, a gdy ci, nie spodziewając się takiego przyjęcia, zaczęli uciekać, pobiegł za nimi. I odtąd chodzi.

Gdyby podobny „cud“ stał się na Jasnej Górze lub w jakimkolwiek innym (obowiązkowo katolickim) kościele, mielibyśmy wtedy co czytać o tem rzekomo nadprzyrodzonem zjawisku. A tak? Katolicka ajencja prasowa wcale o nim nawet nie wspomniała.

Od administracji

Do poprzedniego n-ru został dołączony **blankiet nadawczy P. K. O. Nr. 14.200**, za którym prosimy wnieść należność za prenumeratę.

Nadawca żadnych kosztów przekazu nie ponosi.

Czytelnicy! Prosimy o niewstrzymywanie wpłaty należności, bowiem byt wydawnictwa jest całkowicie uzależniony od regularnego wpływu za prenumeratę.

PRENUMERATA „BŁYSKÓW“ (bez „Wolnomyśliciela Polskiego“)

Za 1 egz. rocznie zł. 2.40	Za 10 egz. rocznie zł. 18.—
„ 5 „ „ „ 10.—	„ 10 „ półrocznie „ 9.—
„ 5 „ półrocznie 5.—	„ 10 „ kwartalnie „ 4.50

10 egz. zagranicą zł. 2.40 mies. lub zł. 28 — rocznie.

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, tel 218-14.
Konto czekowe w P. K. O „Wolnomyśliciela Polskiego“ N 14 200.

Redaktorka **Zofja Żurkówna**. Wyd.: **Spółka „Wolność“ z ogr. odp.**

Druk. „MATADOR“, Grzybowska 41, tel. 5.98-44.